

Najazd Hrabala na 100licę

Być może to uboczny skutek tendencji wzrostowej w spożyciu piwa w Trzeciej Rzeczypospolitej kosztem wódki (naszego dotychczasowego napoju narodowego). Otóż ostatnimi czasy najczęściej granym i lansowanym na deskach teatralnych w Warszawie autorem stał się nagle pisarz z „południa” Europy – potulny i dobroduszny piwosz-gawędziarz o wrażliwości poety-erotomana – Bohumil Hrabal (Współczesny, Dramatyczny, Studio). Ściągać się z nim może teraz tylko wielki pradziad Davida Beckhama, gwiazdor Szekspira (Dramatyczny, Powszechny, Polski, Rozmaitości, Narodowy), ale to dramaturgiczny geniusz i teatralny nieśmiertelnik.

Ten najazd Hrabala na Warszawę to może i byłoby to zjawisko, które chwalić i z którego dumnym przewlekłe być należy, gdyby nie fakt, że tylko jedna z trzech sztuk, wystawionych w oparciu o jego prozę, warta jest obejrzenia. Bo w rzeczy samej – dokonano na Hrabalu gwałtu!

Ale po kolei – w listopadzie 2001 roku w Teatrze Współczesnym wystawiono *Bambini di Praga* w reżyserii Agnieszki Glińskiej (wg adaptacji Vaclava Nyvlta). Zespół aktorsko-wykonawczy specjalnie na okoliczność tego przedsięwzięcia odbył wycieczkę hrabalo-zapoznawczą do Pragi. Reżyserka porwała zespół na najzwyczajniejszy w świecie clubbing praski – celem zapoznania warunków geograficzno-socjologicznych w jakich przyszło Hrabalowi tworzyć. Obejść się nie mogło zapewne bez konsumpcji dużych ilości piwa, co by w świat hrabalowskich postaci i miejsce wejść z odpowiednią optyką. Nie piszę tego bynajmniej żeby dyskredytować tego rodzaju praktyki – wprost przeciwnie, ale o tym później. W *Bambini di Praga* czterech oszustów, inteligentnych rzezimieszków-naciągaczy, podających się za akwizytorów towarzystwa ubezpieczeniowego „Spokojna starość” sprzedaje fałszywe polisy ubez-

pieczeniowe drobnym rzemieślnikom, sklepikarzom, uczestnikom kursów tańca dla starszych i dla zaawansowanych... . Spektakl wyróżniono dwoma Feliksami Warszawskim za sezon 2001/2002 oraz tytułem Najlepszego Spektaklu na IX Ogólnopolskim Festiwalu Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych w Łodzi..

Zwierzywszy chyba dochodowość jaką generuje sama obecność nazwiska Hrabala na afiszu, w październiku 2003 roku Teatr Dramatyczny wystawia *Obsługiwałem angielskiego króla* w reżyserii Piotra Cieślaka. I jak na Teatr Dramatyczny jest to w istocie prawdziwy dramat! Bowiem co z tego, że to adaptacja Ivo Krobota i Petra Oslzy’ego – hrabalow-

**Przydarzyła się miastu
stołecznemu rzecz
bardzo scenicznie
egzotyczna**

skich ziomków co w cięciu prozy swego krajana powinni mieć rozeznanie i autochtoniczne wyczucie, co z tego, że scenograficznie nawet bywa przedstawienie czasem pomysłowe – skoro nuda z tej sztuki bije niemiłosiernie. Gmatwanina wątków z minuty na minutę przerażać zaczyna widza, chaos sceniczny-fabularny przyrasta w postępie geometrycznym. Płataninę zaczyna wspierać rozwlekłość, rozwlekłości pomaga nieciekawe i niewyraźne aktorstwo – brak tu postaci tak komicznie zarysowanych i komediowo poprowadzonych jak w inscenizacji Glińskiej. Ekipa z Dramatycznego rzeczywiście może grać Becketta i wielogodzinne ekstrawagancje, z pogranicza teatralnej grafomanii, Krystiana Lupy, jednak jak się okazało nie adaptacje rzewnej prozy Hrabala. Cieślak Lupą nie jest a przynudza w swej adaptacji

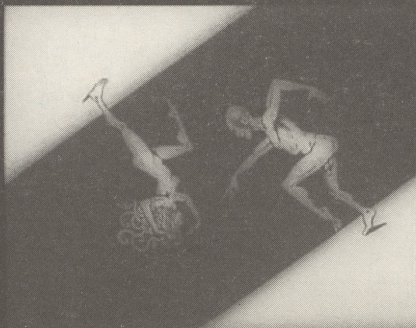
równie skutecznie, „wymazując” z Hrabala wszystko co najlepsze.

Dla tych co wcześniej nie przeczytali *Obsługiwałem angielskiego króla* kontakt z „dramatyczną” inscenizacją mógł mieć fatalne skutki – po pierwsze: mogli oni doznać szoku na skutek przemożnej dawki nudy i obłędnej gmatwaniny wątków, otóż po drugie: mogli się potwornie zniechęcić do wszystkiego co Hrabal napisał, a napisał rzeczy wybitne i doniosłe. Tym, którzy czynnie przykładają się do psucia Hrabalowi dobrego imienia należy się co najmniej publiczna chłosta.

W końcu Teatr Studio wystawił *Zbyt głośną samotność* w adaptacji i reżyserii Tomasza Mana (premiera w grudniu 2003 roku). To powieść bliska zapewne każdemu, kto nałogowo każdego dnia zaczytuje się w gazetach, tygodnikach, miesięcznikach, w końcu książkach rozmaitego autoramentu i proveniencji. *Zbyt głośna samotność* to Biblia dla każdego logofaga, uzależnionego od zaczernionego drukiem papieru nienawistnika najchętniej dzień cały spędzającego na czytaniu.

Ryzyko spaprania tej książki nie wydawało się być duże, bowiem fabularnie nie jest zbyt zawiła. Miejsce akcji jedno – piwnica, jeden monologujący bohater oraz kilka nawiedzających go postaci. Szanse powodzenia tej inscenizacji zdawały się być duże, warunek był tylko jeden: umiejętnie kręgosłup dramaturgiczny wydobyć. Okazało się jednak, że i tak było to zbyt wiele.

Zbyt głośna samotność to historia Hanty pracownika praskiego składu makulatury, „wykształconego wbrew własnej woli”, który od 35 lat prasuje „stary papier”, ale co najważniejsze jest też wielkim miłośnikiem literatury. Wraz z nadejściem nowoczesności i bardziej wydajnych maszyn zapada decyzja o zamknięciu jego „zakładu pracy”. Dla Hanty nie ma życia poza piwnicą, postanawia więc podzielić los prasowanych przez siebie papierzyśk....



Tak wygląda rzecz w książce i może nie powinienem zdradzać zakończenia, ale tego najmocniejszego akordu, który w powieści ma siłę oczyszczającą, zabrakło właśnie w przedstawieniu! Reżyser, adaptując *Zbyt głośną samotność*, pominął kwestię najistotniejszą! Usunął z tekstu składnik, który decydował o całym jego ciężarze dramaturgicznym! Postawa Hanty w perspektywie jego ostatniej decyzji, jego podsumowujący życie monolog, wybrzmiewa z dużo większą siłą, gdy pieczętuje ją samobójcza śmierć w łonie maszyny, z którą spędził bodajże pół swego

niestety kompletną wtórnością i zamiast stanowiąc reżyserskie „wariacje na temat” (jak *Sanatorium pod Klepsydrą* w inscenizacji Oskarasa Korsunovasa z Teatru Studio), które by uzupełniały i wzbogacały odczytanie pierwowzoru, sprowadzają go poniżej poziomu przyswajalności, zniechęcając do późniejszej lektury. Osobną sprawą jest tu problem przekładalności frazy hrabalowskiej, miejscami wysoce spoetyzowanej, na język teatru, na język żywych gestów i martwych rekwizytów. Proza ta zamyka swego czytelnika w szczelnym

wirtuozerią, na scenie objawiają się jako niezrozumiała bieżanina faceta ze skórzaną teczką pod pachą, który między burdelem a hotelem gubi wstydlive części swojej garderoby. Całe bogactwo fabularne książki ginie w tym przedstawieniu. Była to jednak chyba śmierć nieunikniona, bowiem akurat ten tytuł jest wzorcowym niemalże przykładem symfonicznych możliwości wyobraźni Hrabala i jego upiornej sprawności literackiej.

Rzemieśniczą przyzwoitość i artystyczny sukces udało się, w zderzeniu z prozą Hrabala, odnieść tylko trupie ze Współczesnego. Jest to inscenizacja w gruncie rzeczy mało wywrotowa i bardzo „mieszczańska”, ale w najlepszym znaczeniu tego słowa. Mając w pamięci fakt, iż w ramach przygotowań do spektaklu reżyserka wpisała obowiązkowo podróż do Pragi, w tym być może należy upatrywać źródeł jej powodzenia. Otóż może gdyby Cieślak i Man również zafundowali swoim aktorom ekskursję na południe połączoną z intensywną eksploracją praskich gospod i wyszynków, moglibyśmy (pozostaje nam żywić jedynie taką złudną nadzieję) oglądać o niebo ciekawsze i żywsze spektakle. Widać czym innym jest picie piwa w nadwiślańskich lokalach, czym innym w praskich gospodach. Tak więc to może właśnie miejsce i „okoliczności przyrody” spożycia piwa zdeterminowały wartość artystyczną teatralnych przedsięwzięć w Warszawie. Do tej pory w stolicy to sekta z Teatru Rozmaitości specjalizowała się w „interesujących” artystycznych gwałtach. Nie chciałbym jednak aby Hrabal trafił także pod pop-strzechy Rozmaitości tylko po to byśmy mogli obejrzeć potem kolejny gwałt choćby i estetycznie efektowny. Nie chciałbym aby później w mej wyobraźni pocziwe hrabalowskie postacie z praskich przedmieść utożsamiały się ze zbławozowanymi sukcesem twarzami z grupy aktorskiej Chyra, Cielecka & Company. Niech więc Państwo Reżyserstwo zostawią może, przynajmniej na razie, Hrabala już w spokoju, nie mordując jego kolejnych powieści kulanymi adaptacjami – żaden teatr i tak nie odda ani literackiego piękna *Zbyt głośnej samotności*, ani fabularnej finezji *Obstugiwałem angielskiego króla*. Niech tylko udana inscenizacja Glińskiej będzie zaproszeniem do księgarń, a na spektakle Cieślaka i Mana niech spadnie „dramatyczna” kurtyna milczenia i zapomnienia.

Jan SZKOTT

FOT. MICHAŁ ENGLERT



Bambini di Praga w Teatrze Współczesnym

życia (jak jest w powieści na papierze), a nie nijakie zakończenie, które proponuje reżyser Teatru Studio – aktor odgrywający główną rolę (Stanisław Brudny) na wieść o stracie pracy rzuca się spazmatycznie dwa trzy razy po scenie, po czym zasiada na krzeselku przed publiką, smętnie się w nią wpatrując wypowiada banalną kwestię, o sile kalendrzowej maksymy, *bo idąc naprzód zawsze powracasz...* Nie można mieć litości dla kogoś kto amputuje z tekstu cały jego ładunek wybuchowy! To tak jakby z Ewangelii usunąć ukrzyżowanie Jezusa! Z tragicznej historii Hanty Man uczynił historyjkę o zwolnionym z pracy robotniku, który musi ustąpić pod naporem ekonomii wydajności. Widać nie z potrzeby serca reżysera powstał ten spektakl, nie wynikał on z jego głębokiej miłości do tej akurat książki, a z czysto kalkulacyjnego nastawienia – przyciągnięcia widza na magnes nazwiska poczytnego pisarza. Ale zaczyna to być już niepisana reguła, iż filmowe i teatralne adaptacje książek grzeszą

kokonie intymności, wprowadzając go w stan stylistycznego uzależnienia (podobnie rzecz ma się w przypadku Schulza). Niestety w realizacjach scenicznych właśnie ta intymność się gubi, gubi się i bokami wychodzi również literackość dzieł Hrabala. W miejsce literackości powinna wdzierać się rzecz jasna teatralność – a ta tylko właściwie i z niekłamanym wdziękiem funkcjonuje w spektaklu z Teatru Współczesnego.

Agnieszka Glińska udała się rzecz niezwykłą, swoją inscenizacją udowodniła, iż można Hrabala grać w teatrze z dużym powodzeniem, pomimo wysokiego stężenia poezji w jego prozie, że można sensownie wystawiać hrabalowskie historie nie doprowadzając do dłużyń i chaosu, nie kalecząc jego barwnych postaci, a wydobywając z nich charakterność, uwodzić widza (np. rolę Damiana Damięckiego, Krzysztofa Kowalewskiego, Borysa Szyca). Rzecz ta nie udała się właśnie w Dramatycznym. Perypetie Jana Dziecie, bohatera uwikłanego w koleje XX-wiecznej historii, które w książce przedstawione z wielką literacką

